

Chłód

– Musimy sforsować bramę, nim nasze wojsko zacznie topnieć. – Orion potoczył wzrokiem po wojownikach siedzących wokół ustawionej pośrodku doliny pryzmy lodu. – Pamiętajcie, żeby nie łamać przykazań, zwłaszcza długiego życia i zdrowia. Nie możemy tak po prostu zabijać obrońców, bo zanieczyszczenie zostanie tu na lata i nie będzie żadnego pożytku ze zdobyczy. Musimy trzymać się planu, bo inaczej...

– Bogowie – mruknął Furites, bawiąc się talizmanem ochronnym.

– Bogowie – kiwnął głową wódz. – Zawsze czekają, gotowi osądzić nas i skazać. Jeśli wszystko się uda, to wreszcie osiadziemy na swoim, pielgrzymka dobiegnie końca. Jeśli nie, to nigdy nie ujrzymy blasku słońca. Prawem siły!

– Prawem ręki! – odkrzyknęli zebrani.

*

– Pchnij! – Taran rąbnął w bramę sanktuarium z całą mocą. – W tył i pchnij!

Groty strzał zanurzyły się w zadaszenie chroniące załogę maszyny oblężniczej. Żołnierze chwycili mocniej obite skórą jarzma, chyląc spocone z wysiłku karki. Wiedzieli, że będzie tylko gorzej.

Orion obejrzał się za siebie, wyłapał spojrzenie Furitesa, pytającego: już? Watażka przymknął oczy, pokiwał głową w odpowiedzi: nie.

Jeden z wojowników ryknął z bólu, strzała przebiła mu piszczel, znajdując lukę w osłonie. Desperacko chwycił się mocowań maszyny oblężniczej, wyjąc dalej wniebogłosy, ale nie przestając dokładać swoich sił.

– Oby boscy Dwaj nie widzieli – warknął przywódca i napał na uchwyt. – Pchnij!

Brązowa głowa tarana wybiła wreszcie znaczącą wyrwę. Skrzydła bramy rozchyliły się, wstrzymywane jedynie pospiesznie zaplątanym łańcuchem i giętką zastawą z cisu. Wrota z każdym uderzeniem wyginały się coraz mocniej w stronę dziedzińca, grożąc upadkiem i tym samym zagrzewając najeźdźców do dalszych prób.

Orion chwycił za zwisający mu z szyi róg muflona, nabrał powietrza i dał w instrument. Długie, niskie dudnienie rozgościło się na polu bitwy, usianym najeżonymi strzałami zewłokami. Dźwięk był tak głośny, że słyszeli go nie tylko wszyscy walczący, ale zapewne też sam król-kapłan, władający górską twierdzą.

Do czasu, pomyślał Orion.

– Dziś śpimy w komnatach! – krzyknął po sygnale, wojownicy zawtórowali mu okrzykami.

Furites wyszczerzył drapieżnie zęby. Jako pierwszy wyskoczył zza whitej w ziemię heksarii. Wystawił przed siebie w pozie zdobywcy krótką włócznię i zaryczał z całych sił:

– Mury!

Rząd tarczowników rozproszył się i przegrupował w pary, które biegły przed mężczyznami z błękitnymi oznaczeniami na hełmach. Nim obrońcy zrozumieli, co się dzieje, było już za późno. Kilka desperackich pocisków odbiło się od wypolerowanych na błysk zasłon z brązu i klejonego drewna.

Zaklinacze dotarli do murów.

– Teraz – szepnął Orion, jakby nadal nie będąc pewnym, czy ośmieleni wyłomem żołnierze, nie porzucą taktyki na rzecz zewu rzezi.

– Teraz! Komu życie miłe, za wieczny odpoczynek! – Wykrzyknął komendę podekscytowany Furites, samemu osłaniając jednego z błękitnych wojowników od zmasowanego ostrzału.

– Najlepsi – zaśmiał się wódz, słysząc komendę.

Rozległ się trzask. Orion odruchowo zamknął oczy, chroniąc je od lecących szczap drewna. Taran wyłamał ostatnią zastawę bramy. Obrońcy rozbiegli się w popłochu, porzucając pozycje.

Najeźdźcy w barwionych hełmach wyskoczyli przed osłony towarzyszy. W ich oczach błysnęło światło, żyły nabrzmiały od wysiłku woli. Jak na zawołanie z ziemi zaczęły wypiętrzać się lodowe bloki.

Każdy następny sześcian zmarzliny był wyższy od poprzedniego, pokryty drobnymi kolcami, zapewniającymi oparcie podszwom i znajdował się coraz bliżej krawędzi muru, dając atakującym dostęp do umocnień.

Czarownik, jeden z Zimnych, stanął, twarz pokraśniała mu jak zachodzące słońce. Organizm musiał znosić nieludzkie temperatury, by resublimować chociaż odrobinę lodu z powietrza. Uśmiechnął się nagle, wydał tryumfalny okrzyk, ostatnim spojrzeniem zlustrował dzieło swoich rąk – lodowe schody i zemdłał.

Najeźdźcy rzucili się hurmem na schody, zasłaniając się heksariami od nadlatujących pocisków. Furites był u szczytu pierwszy, nanizał młodego chłopaka z łukiem na włócznię i nieludzkim wysiłkiem wznosił ku górze, by zaraz przerzucić ciało za siebie.

Spomiędzy osłon strzeleckich zajaśniało pomarańczowe światło, mieszkańcy sanktuarium również po swojej stronie mieli kogoś zdolnego do manipulacji światłem. Oślepiający błysk zatrzymał na chwilę wojowników na schodach, po lodowych stopniach posypały się kaskady iskier i zaraz w dół schodów pomknęła rzeka płynnego ognia.

Zabrzmiały kolejno okrzyki bólu, zaraz za nimi pojawił się śwąd palonego mięsa. Któryś z Zimnych wyteżył wzrok i ledwo dostrzegł brodatego starca za żółtym dyskiem z czystego płomienia.

Czarownik najeźdźców wyszukał fragment odsłoniętego ciała. Po murach spłynęła rosa, powietrze zrobiło się wilgotne i zaraz obok pojawiły się lodowe kolce, wirujące w powietrzu.

Zabrzmiała seria uderzeń, gdy kolejne pociski przebijały barierę dźwięku, wystrzelone jak z niewidzialnego łuku. Dwa pierwsze przebiły się przez kamienie na wylot, trzeci poleciał wysoko w niebo i wreszcie czwarty prześwidrował oczodół starca.

Złocisty blask znikł, rzeka ognia zaczęła rozlewać się po ziemi w kałuże. Wytopione schody przypominały teraz zgoła przypadkowy odłamek lodowca, choć wśród parujących wyrw można było dostrzec wykrzywione w przerażeniu twarze atakujących. Ci, którzy mieli dość szczęścia, by ująć z pożogi z życiem, teraz wbiegali na pozostałe lodowe konstrukty.

Lewe skrzydło bramy upadło, przygniatając pojedynczego śmiałka, który został na swojej pozycji do samego końca. Reszta wołała zachować kilka chwil życia więcej,

wycofując się do wewnętrznego dziedzińca. Bramy sanktuarium zostały rozwarte siłą, zanieczyszczając strukturę świata.

Wszyscy poza Furitesem i Orionem spojrzeli odruchowo w niebo. Ten pierwszy aż tak wierzył w sukces, drugi aż tak nie wierzył.

Nic się nie stało. Jaśniał błękit wczesnego lata. Gdzieś w oddali chluśnięto z murów wrzącym piachem. O sześciokątne tarcze uderzyły kolejne groty strzał. Dźwięk przypominał chrobot sokolich pazurów, jeżdżących bezskutecznie po żółtwej skorupie.

Pielgrzymi zaczęli krzyczeć z radości i wpadać sobie w ramiona, jakby dostąpili najwyższego możliwego szczęścia.

Jeden z zaprawionych w bojach żołnierzy uronił łzę. To był jego pierwszy Pesates, czyn haniebny największej miary, który nie spotkał się z natychmiastową karą. Odkąd pół dekady temu okradł korzennego kupca, płakał krwią każdego dnia. Bóg Nixis karze zanieczyszczenia surowo, jednak opuścił sanktuarium w chwili potrzeby.

Na moment cel wędrówki zabłysnął na nie tak odległym horyzoncie zdarzeń. Wystarczyło przeżyć, wypchnąć zakonników z legowiska i ugościć się na ich miejscu, tylko tyle i aż tyle.

– Heksarie! – dał z siebie głos Orion, samemu wyjmując spod zadaszania tarana swoją tarczę z wymalowanym ochrą orłem. Zapiął skórzany pas na przedramieniu, w prawą dłoń chwycił długi buzdygan o zaokrąglonej głównej. – To dopiero początek! Pamiętajcie, bierzemy żywych, unikamy bezpośrednich ofiar. Jak któryś celowo złamie przykazanie to będzie miał do czynienia ze mną, rozumiano?!

Podwładni dobywali kolejno broni i stawali w linii ze swoim wodzem. Wierzyli, że koniec był bliski i trzeba było dać świadectwo wiary, pozwolić się zapamiętać Orionowi z najlepszej strony, nim ten obejmie sanktuarium.

Na murach Furites przekreślił czworoboczny grot z brązu w piersi kolejnego wroga, wyjął broń z ciała i z półobrotu uderzył drzewcem w skroń. Mieszkaniec sanktuarium wleciał plecami w przestrzeń między dwoma zasłonami i runął z muru na ziemię.

Atakujący zwycięsko zakreślił włócznią nad głową. Obejrzał się za manifestacją nieczystości po złamaniu przykazania. Było czysto, więc skoczył drapieźnie między

osłupiałych mieszkańców sanktuarium. Zaraz za nim wspinali się następni Pielgrzymi, wyposażeni w pałki, buzdygany, okute laski i inne obuchy, tak jak przykazał Orion.

Po murach rozległ się odgłos cięciw, naciąganych i spuszcanych szybko, bez pomysłu i polotu. Łucznicy próbowali po prostu zasypać gradem pocisków wchodzących po przyzmach, wykorzystując chwilową przewagę liczebną.

Jeden ze wspinających się zamarł nagle, grot strzały wbił się głęboko między szyją i naramiennikiem z prasowanego lnu. Wojownik bujnął się do tyłu, w locie nieomal strącając tych, którzy wdrapywali się za nim. Kark zachrząścił odrażająco, gdy brutalnie rąbnął nasadą o lodowy stopień.

Furites w ostatniej chwili oprzytomniał, zasłonił się okutą brązem heksarią, o którą zaraz rozbiły się puszczone pośpiesznie pociski. Jedna ze strzał przeleciała mu obok skroni, świszcząc przy uchu, jak ciche przypomnienie śmiertelności. Czterech mieszkańców sanktuarium obejrzało się po sobie, szukając wzajemnie porady: naciągać znowu, bić na oślepień łączyskiem, czy uciekać?

Rant tarczy wbił się z impetem w czoło obrońcy, ten zachwiał się i upadł na ziemię. Furites zamarkował uderzenie w stojącego po lewej, a tak naprawdę pchnął tego z prawej. Nieszczęśnik chwycił się za rozcięte gardło, upadł na ziemię i szarpnął w konwulsjach, nie mogąc zaczerpnąć oddechu, ani umrzeć.

Szturmujący uśmiechnął się jakby z lekkim zażenowaniem, jak muzyk, który zafalszował ton w piosence śpiewanej publicznie. Dla niego oblężenie sanktuarium nie miało celu, było celem samym w sobie, a on czuł się artystą sztuki wojennej, którą inni uznawali za wstydlive rzemiosło.

W tym samym czasie trzon oddziału wbiegł na zewnętrzny dziedziniec, wypatrując obrońców. Po uszach, jak bicz, chłósnał obrzydliwy dźwięk przebijanej na wylot grdyki. Pielgrzym na szpicy zamrugał z niedowierzaniem, opadł na kolana i jeszcze podniósł tarczę, jakby próbując cofnąć czas, by uchronić się przed fatalnym błędem.

Orion wlepił wzrok w przeciwległy kraniec placu. Ciężkozbrojny z krwiście czerwonym pióropuszem poklepał trzymającego łuk młodziana, jakby gratulując mu celności.

Był masywny, barczysty, ale ruchy miał płynne i pełne pewności, gdy wydawał komendę odwrotu do centralnej części twierdzy.

Watażka zacisnął zęby, widząc, jak godny przeciwnik wymyka mu się spod palców. Już miał skoczyć przed siebie, rzucić wyzwanie, ryczeć jak zwierzę. Zamiast tego jedynie złapał ostatnie, pełne pogardy spojrzenie spod zdobionego hełmu nieprzyjaciela i warknął w odpowiedzi rozgoryczony.

Zaskrzypiały naciągane łańcuchy, drewniana kładka zaczęła się podnosić, odcinając zewnętrzną część fortyfikacji od głównego sanktuarium na skale. obrońcy wiedzieli, że z taką przewagą pozycji mogą się bronić choćby i przed całą hordą dzikusów. Problemem było jednak to, że nawet obrona potrafi być złamaniem boskich przykazań długiego życia i zdrowia.

Świsnęły kolejne strzały. Jeden z Pielgrzymów padł na ziemię, trzymając się za przebite kolano. Towarzysz obok próbował zasłonić ich obu jedną tarczą, omal samemu nie dostając w ramię. Atakujący zebrali się w ciasną gromadę, wystawiając do zewnątrz osłony.

Orion w mgnieniu oka zlustrował pole bitwy. Wysokie na dwóch mężczyzn i szerokie na trzech mury z kamieni polnych i zaprawy tworzyły plac o planie prostokąta. Na rogach były zadaszone, nieduże wieże, w każdej zapewne po kilku łuczników. Jego ludzie zajmowali już pierwszą część muru i przesuwali się w lewo.

Wiedział, że musi zabezpieczyć prawą stronę, choć nie zabrał ze sobą żadnego z Zimnych. Oszczędzał ich na drugą, bardziej niebezpieczną część szturm. Pies zagoniony w ślepią uliczkę kąsa najzjadlej.

Obejrzał się po zdyszanych, zahartowanych wojownikach. Jego wojownikach. Jeśli tylko nikt nie zdecydował się na samowolę, to wreszcie życie ułoży się na nowo. No właśnie, jeśli nikt...

– Destres! – krzyknął dowódca, wskazując palcem na jedną z figurek na murze.

– Jestem! – odpowiedział najeźdźca i obrócił się do swojego wodza, błyskając rzeźbioną maską z brązu, która zasłaniała jego szpetne blizny.

– Melduj!

– No zostawili chyba tylko chętnych, by uniknąć zanieczyszczeń z porzuconych i zdradzonych. Z pół tuzina jeszcze po tej stronie, idziemy, jak kazałeś, nisko i powoli. – Schylił się i wystawił przed siebie tarczę, zasłaniając sylwetkę od czoła po pachwinę.

– Zuch! – odruchowo przytaknął Orion, wiedząc, że podwładny do pojętnych nie należał. – A co z Furim, co z przykazaniami?

Destres zacisnął mocno usta, nie chciał później paść łupem koleżeńskiego sądu polowego, więc i przeszło mu przez myśl nie donieść na oficera. Ostatecznie jednak wiedział, że jeśli wszystko się uda, to Orion wygna króla-kapłana, a to tak jakby był królem-kapłanem, a skłamać królowi-kapłanowi to jak skłamać i ziemi i niebu.

– No więc ten – odezwał się w końcu, jednak nim wydedukował, co ma powiedzieć, to Oriona już nie było na placu. Zamiast tego przesunął się wzdłuż ściany do schodów, prowadzących na prostopadły mur z prawej. – No, chyba że tak.

Furites spojrzał na swoje ręce, ociekające krwią i lepkie od zerwanych strzępów mięsa. Przymknął z lubością oczy, obejrzał się na przebiegającego dalej żołnierza, który nie odważył się nawet go strofować. Pod stopami włócznika leży cztery trupy, choć nie powinien był żaden. Skoro już po pierwszym nic się nie stało, to zgodnie ze swoją logiką najeźdźca uznał, że dalej też nic się nie stanie.

Mylił się gorzko.

Wpierw coś zaśmierdziało okropnie jak ekskrementy. To się zdarzało, zwłaszcza gdy żołnierze mdleli i tylko myśleli, że umierają, dlatego trzeba było patrzeć, czy nikt za plecami zaraz nie wstanie z ziemi. Więc gdy jeden z domniemanych trupów uchylił powieki, usta nozdrza i drgnął, jakby miał się podnieść, to Furites od razu przyszpilił go do ziemi włócznią.

Jednakże zewłok rozchylił otwory jeszcze bardziej, aż pociekła z nich czarna maź, która po chwili jęła tężeć i łączyć się ze sobą w długą kończynę. Czarne łapsko chwyciło się kamiennego podłoża i pociągnęło zwłoki, aż do następnych, by wejść również i w nie.

– O na Ignisa – szepnął Furites, pierwszy raz w życiu powołując się na wiarę. – O na świetlisty lampion, o na jasną cholere! Emanacja! Mamy tutaj problem!

Kilku żołnierzy wbiegło na plac przez bramę i spojrzęło ku górze. Ci, którzy byli już na murach, obejrżeli się, to na pozostałych łuczników, to na wzywającego pomoc Furitesa.

Śmignęła strzała. Ze zdławionym młaśnięciem przebiła lniany napierśnik jednego z wojowników i weszła płytko między żebra.

– Gdzie jest Orion?! – krzyknął ktoś przerażony, zasłaniając się heksarią przed nadlatującym ostrzałem. – Dawać tu Zimnych, ale już!

Furites obejrzał się w przerażeniu to na mur, to na dziedziniec, to na lepiące się do siebie zwłoki. Ktoś go popchnął barkiem, wybiegając mu zza pleców i walnął z góry buławą wprost w powstające stworzenie. Broń sięgnęła celu, trzasnęły łamane kości.

– Tak jest... – szepnął najpierw nieśmiało włócznik i sam w końcu doszedł do siebie. – Rozrąbać mi to paskudztwo, ale już!

Kilku ośmielonych wojowników jęło okładać mozaikę ciał obuchami. Połamane palce, popękane żebra i wygięte nienaturalnie kończyny mimo to zbierały się w jednolitą sylwetkę. Mroczna siła ściągała do siebie trupy, składając z nich narzędzie kary, za dokonane bezprawnie morderstwa.

Któryś z wojowników chwycił Furitesa za ramię, szarpnął nim zaciekle i z oczami wybałuszonymi od przerażenia wykrzyczał:

– Ty to zrobiłeś! Ty to teraz napraw! Przyznawaj się, ale już.

Kilku ludzi dopadło do Furitesa, ktoś padł na kolana i zaczął płakać, błagając o litość. Ktoś inny dosłownie obrócił się i zaczął uciekać po schodach, z powrotem na dół murów.

– Ja nie chcę trafić w otchłań! Przyznaj się, Furites, błagam cię! – załkał któryś z młodszych, szarpiąc włócznika za skraj panczernej spódniczki.

– Już dosyć! – odkrzyknął Furites, zacisnął zęby, serce waliło mu ze strachu, ale po chwili przestało. Zamiast tego rozlała się po jego ciele gorejąca pewność siebie. – Jesteście bandą zabobonnych pastuchów.

Furites kolanem odtrącił towarzysza, który łapał go błagalnie za skraj tuniki. Zbliżył się odważnie do kilkumetrowej, bulgoczącej masy ciał i czarnej miazmy. Zanieczyszczenie

było ogromne, ewidentnie z kategorii tych najgorszych, które potrafiły pochłonąć całe rodziny i skazać na zagładę kilka pokoleń.

– To ja umyślnie zabiłem tych ludzi, przyznaję się! – powiedział bardzo dokładnie, pewnym głosem.

Czarna chmura zatrzymała się nagle, drgnęła i niewyobrażalnie szybko wpełzła w Furitesa, do wtóru przerażonego lamentu obserwatorów. Po chwili piękny młodzieniec obrócił się, miał fioletowe powieki, jakby nie spał od kilku dni, oko drgało mu spazmatycznie, a po białkach tańczyły czarne żyłki.

– Mówiłem, że to nic takiego – powiedział nieswoim głosem, nieco ochryplym.

Kilku z Pielgrzymów, którzy zawsze zgadzali się z Furitesem, tym razem również wsparło go, ignorując to, co podpowiadały im rozszalałe ze strachu serca. Jeśli on kazał się cieszyć, to widać był powód. Inną rzeczą było to, że Orion prędzej czy później musiał się o tym dowiedzieć, a to nie mogło się skończyć łagodnie.

Po przeciwległej stronie dziedzińca stale rozlegały się okrzyki walki, pozostali obrońcy trwali na stanowiskach.

Orion w ostatniej chwili zasłonił się przed opadającym toporem. Żeleźce wyszczerbiło okucie tarczy, wbiło się na kilka warstw sklejonnych desek i utkwilo w zasłonie. Szarpnął tarczą w bok, wybijając z równowagi zakonnik, próbującego wyciągnąć swoją broń. Drugą ręką zamachnął się z mocą, łamiąc obojczyk głównią buzdyganu.

Zakonnik legł na ziemi, tracąc przytomność z bólu. Watażka schował na moment broń, uwolnioną ręką wyjął z trudem topór, zważył w dłoni i cisnął w grupę przed nim. Trzonek zawirował w powietrzu w parze z ostrzem.

Skryty w cieniu drewnianego dachu łucznik rozwarł usta, jak zahipnotyzowany wgapił się w nadlatujący pocisk. Ostrze, trzonek, ostrze, trzonek, ostrze... Krew bryznęła z twarzy obrońcy, poleciał w tył, rozkrzyżowując ręce. Jego towarzysze broni spojrzeli to na siebie, to na wystający z głowy topór.

Świsnęły kolejne strzały, najeżając tarczę Oriona.

Po jego prawej stronie mieścili się ledwie dwaj Pielgrzymi, walczący w zwarciu z zakonnikami, którzy utylizowali na potrzeby obrony narzędzia gospodarskie, siekiery, młotki, sierpy i widły.

Orion wiedział, że zabójstwo w obronie może splamić tkaninę świata, tak samo, jak zwykle morderstwo. Widocznie zakonnicy nie widzieli innego wyjścia albo w szaleństwie bitwy nie myśleli o takich długoterminowych problemach, jak skażenie własnego domu emanacją Nixisa.

Krew zbryzgała twarz wodza.

Zakonnik obok mógł niemal spojrzeć na własne plecy, cios wykręcił mu kark. W skroni miał wyrwę po uderzeniu jego własnym młotkiem, wyrwanym przez Pielgrzyma. Nogi pod nim zwiotczały i padł na ziemię. Zaraz trzech najeźdźców zaszlachtowało ostatniego z obrońców, osamotnionego, pozbawionego szans.

– Brać żywcem albo okaleczać! – warknął dowódca, choć sam wiedział, że to nie jest takie proste. – Mamy to miejsce zająć, a nie zatruć!

Pielgrzymi zaszarżowali, rycząc wniebogłosy. Ostatni dwaj łucznicy wzniesli ręce do góry, nie wiadomo czy chcieli się zamachnąć do ciosu, czy poddać. Zaraz obaj leżeli, wyjąc z bólu.

Orion rozejrzał się dookoła. Z murów spływała krew, jęki rannych nakładały się na siebie i potęgowały wzajemnie. Brzmiało to, jakby ktoś otworzył bramy piekła i pozwolił przemówić zmarłym. Na moment watażka spróbował wziąć oddech, ręce zdrząły mu, przed oczami stanęła płonąca aleja akacji i ruina własnej rezydencji w oddali. Uciekał przed pożogą tylko po to, by ostatecznie samemu ją wywoływać, a przecież nie tak miało być.

– Wszyscy – jeden z podkomendnych położył mu dłoń na naramienniku, powtarzając po raz kolejny informację.

– Którzy? – spytał zdezorientowany Orion, dostrzegając, że musiało minąć kilka dłuższych chwil.

Żołnierze zebrali się w rogu placu, zasłonięci od ostrzału z wewnętrznego muru sanktuarium, gdzie za wzniesioną kładką kłębili się wszyscy mieszkańcy. Ktoś rozdawał

okładki z lodu, bukłaki z winem poszły w ruch. Rannych opatrzone i związane na środku placu, by obrońcy mogli ich oglądać zza blanek i mieć przedsmak własnego losu.

– Mówię, że to wszyscy po tej stronie muru. Zostaje jeszcze przepaść na drugi masyw skalny, jakieś dziesięć kroków odległości do bramy. Jakbyśmy chcieli zrobić kładki z muru na mur, to możemy ponieść duże straty, bo są lepiej przygotowani. Poza tym teraz się dozbroili, widziałem ostre narzędzia, kilka włócznie, heksarie, puklerze z klepek od beczek...

– Ameretates – szepnął Orion, świdrując wzrokiem niższego o głowę żołnierza. – Czuję smród, nie do pomylenia. Który zabił z premedytacją?

Podkomendny zacisnął usta, zsunął wzrok na buty i pokiwał głową na boki.

Wódz chwycił go nagle za kark, jak krnąbrnego psa i ściągnął do wysokości uda.

– Zadałem pytanie – głos miał tak samo spokojny, jak przed chwilą, jakby pytał o pogodę, albo zdrowie.

– Furites – odpowiedział żołnierz i odskoczył, gdy tylko dowódca go puścił.

Orion zeskoczył na schody, przestąpił drogę na dziedziniec w kilku susach. Na moment stanął w świetle wewnętrznej bramy, któryś z odważniejszych obrońców posłał strzałę. Watażka nie obracając się, podniósł odruchowo tarczę, grot wyszczerbił krawędź i pomknął koślawym torem w bok.

Odpozywający w rogu placu najeźdźcy stłoczyli się pod ścianami. Nie wiedzieli, z czym idzie do nich wódz, ale widzieli, jak wodził wściekłym wzrokiem po twarzach, a to nie mogło oznaczać nic dobrego. Tylko dwaj kulejący żołnierze zostali na swoich miejscach, licząc na to, że gniew nie sięgnie ranionych w boju.

Jednak Orion miał zamiary tylko wobec jednej osoby.

Furites otworzył usta, chciał rzucić jakimś zaczepnym, pozornie niezwiązanym z niczym zdaniem. Zamiast tego rozwarł gardziel mocno i spróbował bezskutecznie wciągnąć powietrze w obolałe płuca, po tym, jak Orion uderzył od dołu. Zaraz został chwycony w pól, podcięty i rzucony o ziemię.

– To nie jest pierdolona zabawa! – ryknął Orion, po czym kopnął Furitesa pod zębra. – Nie pozwolę, aby twoja głupota zaprzepaściła lata wędrówki.

Furites przetoczył się na bok, wstał, odruchowo chciał sięgnąć do uda po nóż. Nim jednak dokończył ruch, Orion zdzielił go w twarz i posłał po raz kolejny na ziemię.

– Ja sobie skórę z pleców zdieram, żebyśmy mieli swoje miejsce! Dobrze wiecie, że takiego smrodu rozkładu, jaki się za wami ciągnie, nikt nie przyjmie! Potrzebujemy własnego miejsca, inaczej przez resztę życia będziemy się tułać po świecie.

– Przecież nic się nie... – próbował zaproponować Furites, jednak Orion zaraz doskoczył do niego i wykrzyczał tuż przy jego twarzy, zagłuszając wyjaśnienia.

– Popatrz kurwa na siebie! – szarpnął podkomendnego za rękę i podciągnął brudny materiał rękawa.

Na skórze Furitesa jawiła się granatowa plama suchej, popękanej skóry. Wyglądało to, jakby przeżył dotkliwe odmrożenie. Sam dopiero w tej chwili zauważył to miejsce, nie czuł z niego żadnych bodźców poza szczypiącym zimnem i smrodem martwej tkanki.

Rozległo się kolejne uderzenie. Orion zdzielił Furitesa otwartą ręką i wyprostował się godnie, wziął głęboki oddech, by przestać dyszeć ze wściekłości. Nagle rozłożył ręce pokojowym gestem i jak gdyby nigdy nic odwrócił się od leżącego, by z ojcowską łagodnością spojrzeć na swoich ludzi.

– Nie jesteście zmęczeni? Nie macie dość gonienia z miejsca na miejsce o głodzie i chłodzie? Tam za murami są zwykli skrybowie, rolnicy i kilku obitych w złom partaczy. Przy rozerwaniu bramy nie doszło do trwałego skażenia, to dobry znak! Bogowie są przeciwko nam, nie możemy im dać za wygraną, możemy jedynie grać zgodnie z ich przekłętymi zasadami.

Ludzie pokiwali powoli głowami, jeden przez drugiego wymienili krótkimi uwagami, bardziej dla potwierdzenia, że słuchają. Wszyscy jednak chcieli wreszcie swojego miejsca, tułali się od lat i nigdy nie zastali nigdzie miejsca na dłużej, by zaraz nie wygoniła ich jakaś emanacja. Wydawało się logicznym, że jeśli przejmą już po kimś miejsce, to w końcu klątwa odpuści na dobre.

Wydawało się logicznym.

– Klnę się na bogów i niech nas wszystkich pochłonie nicość, jeśli kłamię. Ten, kto złamie przykazania, będzie mieć złamane kolana i wtedy już na pewno nie będzie się musiał

nigdzie tułać – Orion powiódł wzrokiem po zgromadzonych i na koniec obrócił do Furitesa. – Bez wyjątków.

– Bez wyjątków – odcharknął Furites, łapiąc się za krwawiący nos i splunął.

Złowrózba cisza zapadła w oddziale. Na zewnątrz umocnień wystawiono kilku ludzi w ramach straży. Pozostałe cztery tuziny zdolnych do walki ustawiło się na placu, w bezpiecznym oddaleniu od zasięgu strzału obrońców. Wyczerpani zaklinacze stanęli na tyłach, został tylko jeden, któremu nie groziło wygotowanie z przemęczenia, Hares.

Zimny zbliżył się do Oriona, postukując kościanymi ozdobami, zwisającymi z szyi. Miał już swoje lata wojaczki za sobą, prowadził Pielgrzymów blisko dwie dekady, nim zjawił się Orion. Teraz na jego wiecznie ponurej i zmęczonej twarzy widniało niemalże wzruszenie. Cel był bliski.

– Chcesz mówić? – spytał Orion, podchodząc bliżej krawędzi przepaści, między sanktuarium a zewnętrznym pierścieniem murów. Obrońcy nie byli dość niemądrzy, by postrzelić człowieka bez wyciągniętej broni, w końcu też chcieli tu żyć. – Może powołując się na bogów...

– Bogowie, to w pierwszej kolejności powód naszej wędrówki, nie będą jej rozwiązaniem – odezwał się wreszcie wiekowy Hares, kładąc drżącą dłoń na lnianym pancerzu wodza. – To twoi ludzie, ci za murami może też, tylko tego nie wiesz. Cokolwiek się stanie, posłuchamy twoich rozkazów, wszystkich.

Orion obejrzał się na starca, który zaakcentował ostatnie słowa jak groźbę. Przytaknął po prostu i wyszedł dwa kroki w przód, nad samą krawędź.

Za osłonami z ustawionych naprędce, nieheblowanych desek wystawały napięte twarze i równie napięte cięciwy. Łucznicy mieli hełmy z zaśnieżonego metalu, od dawna nieużywane kawałki pancerzy, niekompletne, często zwyczajnie wadliwe. Mimo wszystko była już to siła, z którą należało się liczyć w tych nowych, niespokojnych czasach.

– Poddajcie się, a nie skrzywdzimy nikogo! – zakrzyknął Orion, zdjął hełm z kłów dzika i wykorzystał chwilę, by wyszukać słabych punktów w umocnieniach. – Jest nas wielu, jesteśmy silni, pozwolimy wam z nami żyć w zgodzie i będziemy chronić przed dzikusami z północy, Echedytami i...

– Wy sami jesteście dzicy – dobiegł męski, rozbawiony głos zza muru.

Wśród łuczników na moment rozbrzmiał śmiech, dający chwilę ulgi.

– Lubię widzieć, z kim rozmawiam – odpowiedział watażka, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

– Lubię nie musieć z wami rozmawiać. – Ponad zasłonami nad bramą pojawił się krwście czerwony pióropusz, a zaraz za nim jego właściciel: obrońca w brązowym kirysie z dopasowanymi nagolennikami i spódniczką. – Więc łaskawie zostawcie nasz dom w spokoju.

– Wasz dom. – powtórzył Orion, pociągnął nosem z udawanym wzruszeniem i przytaknął. – Chcemy, żeby to był też nasz dom, nasze miejsce odpoczynku. Musieliśmy tu wejść siłą, inaczej byście nas nie wpuścili, prawda? Dobra myśl, Wohos Manes, łatwo uniknąć, wystarczy sobie wmówić, że wcale nas nie posadzacie o nic, tylko nie słyszycie, jak pukamy do bram. Robimy to od lat, wędrujemy, szukamy miejsca, które nas przyjmie, ale wszędzie tylko nas przeganiają, jak dzikie psy.

– Może nimi jesteście.

Orion wzniosł palec ostrzegawczo.

– Uważaj na słowa, jeszcze zapaskudzisz mój nowy dom – wyszczerzył się złośliwie. Pielgrzymi zawtórowali rechotem.

Obrońca wzniosł jedynie dwa palce w górę, stykając ze sobą kciuk ze środkowym. Tym gestem krótko podsumował, co sądzi o sposobie zarobku na życie w damskiej części rodziny najeźdźcy.

– Hares. – Tęczoówki Oriona błysnęły zimnem, grdyka drgnęła w górę i w dół.

– Nie podejmuj pochopnych...

– Własna kwatery i dowolna konkubina dla ciebie...

– A w zamian? – spytał Zimny, gestem odprawiając resztę wojowników kilka kroków do tyłu.

– Chcę. To. Miejsce – wyszczał Orion.

Powietrze dookoła zwilgotniało, temperatura opadła znacznie. Łucznicy, przeczuwając niejasne zagrożenie, wycelowali w pokrywającego się szronem starca. Brzękły wystrzępione cięciwy, ale w połowie drogi strzały się zatrzymały. Ludzie z przerażeniem i oczarowaniem patrzyli, jak jeszcze przez chwilę pociski wiszą w pustce i zaraz opadają w przepaść.

– W tył – szepnął sucho Hares, po czym huk ogłuszył obecnych.

Fasada muru pokryła się lodem, wystającym na wiele metrów w górę, uniemożliwiając jakąkolwiek odpowiedź ostrzałem. Zabrzmiał trzask pękającego szkła. Z ponad łańcuchów, trzymających pomost dobiła się biała mgiełka. Zaraz ponownie coś jakby się stłukło, to ogniwa zostały rozsadzone od środka.

Hares, czerwony jak zachodzące słońce stał tak jeszcze moment, uszedł kilka kroków w cień obok i głośno zawołał:

– Wina łajdaki! – po czym omdlał, parując gorącem z każdego skrawka skóry.

Droga na wewnętrzny dziedziniec stała otworem.

– Prawem siły! – zaryczał z całych sił Orion i jako pierwszy przebiegł nad przepaścią.

– Prawem ręki! – odpowiedzieli wojownicy, biegnąc za wodzem.

Pierwszy nie był gotowi, pierwsi nigdy nie są gotowi. Wskoczył zza rogu bramy, trzymając miecz wysoko, jakby chciał dekapitować wchodzącego. Zamiast tego zgiął się w pół, gdy pchnięta nisko głowica buzdyganu strzaskała mu żebra. Orion obrócił się i lupnął tarczą w kręgosłup, posyłając obrońcę na ziemię.

Na murach panował chaos, lodowa ściana osypywała się z koszmarnym łoskotem, druzgocąc kości łuczników. Niektórzy próbowali jeszcze zbiec, stłaczając się na wąskich schodach, albo już odruchowo wycofując się w stronę drzwi do kompleksu sanktuarium.

– Ty psie! – wydarł się ktoś wniebogłosy dla dodania animuszu, szarżując na plecy wodza najeźdźców.

Orion obrócił się i zasłonił heksarią. Ostrze skrzesало kilka iskier o krawędź, wgniatając parującego cios do ziemi. Watażka wyprostował nogi, przechylając tarczę wraz z mieczem przeciwnika na bok i uderzył obuchem w odsłonięte ramię. Chrupnęła kość, nieprzyjaciel jęknął i zalał się łzami.

To nie wojownik, tylko dziecko z zaostrzonym prętem, pomyślał rozgoryczony Orion i rąbnął pięścią w twarz pokonanego.

Żołnierze wsypywali się do środka, wdawali w pojedynki z uciekającymi i okupowali dół schodów, po których musieli zbiec łucznicy, ratując się od osuwającej lawiny lodu. Ktoś ryczał wściekle znajomym dla przywódcy głosem, to był Furites, miażdżący czyjś piszczel tarczą. Widocznie wziął sobie do serca przysięgę na bogów.

– Destres, Ames, Kyrtrias do mnie! – zawołał Orion i naskoczył na wroga.

Ten zasłonił się tarczą, buzdygan huknął w guz na środku. Nie udało mu się jednak utrzymać zastawy, zrobił dwa kroki w tył i przewrócił się na ziemię. Orion jednym susem przyskoczył do niego, wznosił broń i pozwolił się znowu zasłonić tarczą. Zgodnie z przewidywaniami obrońca zamknął oczy i desperacko wystawił owal przed siebie, dlatego atakujący po prostu zmienił cel i zgruchotał odsłoniętą nogę.

Rozległ się zduszony krzyk, a za nim charkot dławiącego się krwią gardła.

Orion obrócił się, tuż za nim stał jeden z Pielgrzymów, nanizany na długi, wąski miecz. Podkomendny spojrzał błagalnie na przywódcę, po czym opadł na kolana i został kopnięty do ziemi. Ciężkozbrojny wojownik w hełmie z pióropuszem splunął pogardliwie na ziemię i wystawił przed siebie owalną tarczę z wymalowanym okiem.

Dowódca obrońców zbliżył się do watażki i zaczął go powoli obchodzić dookoła, nie spuszczać z niego wzroku. Ustawiał się powoli plecami tak, by mieć najlepszą pozycję do wypadu.

Orion wybił się z ziemi, heksarię mając blisko ciała, a buławę wzniesioną wysoko nad głową. Chciał wpierw wy badać przeciwnika.

Obaj walczący zderzyli się wpierw tarczami, odskoczyli od siebie i uderzyli ponownie, jak bodące się rogami barany. Owal i heksaria zderzyły się ze sobą po raz kolejny, jednak Orion tym razem nie odskoczył, rąbnął buławą z góry.

Obrońca odsunął się, przechylił tarczę i bezpiecznie przyjął rękojeść buzdyganu na okucie. Pchnął od razu, rantem zaczepiając o łokieć nieprzyjaciela. Orion syknął z bólu,

cofnął broń, naparł swoją tarczą i spróbował zaatakować nisko, jednak głowica trzasnęła jedynie w drewno.

Orion uderzył ponownie po nogach, próbując swoją tarczą zablokować tarczę przeciwnika jak najwyżej. Brązowa głowica poszła nisko, pod zasłoną, straciła pęd przy krańcu wymachu i bezskutecznie zjechała po nagolenniku.

Woj w pióropuszu odsunął się o kroku, zamarkował cięcie mieczem z góry i po prostu kopnął Oriona pod kolanem. Ten zgiął się, odruchowo zasłonił tarczą, jednak cios nie nadszedł. Obrońca sanktuarium zrobił wykrok w bok i spróbował ciąć w odsłonięte ramie, tarcza w ostatniej chwili przesunęła się i skrzywiła zamierzoną drogę ostrza.

Ryki raniących i lamenty ranionych zlewały się w jedno wraz z kakofonią uderzających o siebie narzędzi wojny.

Orion dyszał jak zziębnięty gonitwą posokowiec. Zmęczenie dawało się już we znaki, pancerz obcierał spoconą skórę, kolejne nakładki Inu zdawały się ważyć coraz więcej. Smród defekujących się dookoła ze strachu ludzi był obrzydliwy. Walka nigdy nie była piękna, jak ją widział Furites.

Watażka zawył z całych sił, zwierzęcym głosem, pierwotnym, próbując sam sobie dodać odwagi i gwałtowności.

Zaszarżował raptownie, grzmotnął heksarią z góry. Nieprzyjaciel zdążył się na to przygotować, jednak zgiął się nazbyt nisko, siła uderzenia pociągnęła go do ziemi. Orion łupnął buzdyganem wysoko. Zajęczało gięte okucie, trzasnęło drewno. Kawałki tarczy posypały się na boki.

Obrońca spróbował zrobić krok w tył, Orion za to zrobił dwa w przód, przesuwając go swoją masą. Rąbnął ponownie, buzdygan strzaskał naramiennik wojownika. Ośmielony wyłomem w zastawie nieprzyjaciela uderzył ponownie, próbując zamachnąć się na krzyż z prawej.

Atakujący z niedowierzaniem poczuł, jak kość promieniowa pali go żywym ogniem. Przed oczami mignęło mu, jak broniący się uderza strzaskaną tarczą, zatrzymując impet zamachu na swoją korzyść. Ręka z buzdyganem poleciała mu w tył, z trudem nie wypuszczając broni.

Ciężkozbrojny wykorzystał moment nieuwagi najeźdźcy, zawrócił swoją tarczę, blokując możliwość zastawy wroga i ciął mieczem wysoko, prosto w twarz.

Ostrze przejechało po hełmie, błysnęły iskry, bryznęła krew.

Nie wiedział, czy cięcie było śmiertelne, więc ponownie zamachnął się na najeźdźcę. W ostatniej chwili dostrzegł, błyskający w promieniach słońca buzdygan, lecz było już za późno.

Orion najpierw usłyszał trzask łamanej kości, a dopiero później doszło do niego, że desperacki cios dosięgnął celu. Głowica zmiażdżyła wojownika w pióropuszu, nim ten opuścił wzniesiony do cięcia miecz.

Obrońca poleciał na plecy, plamiąc ziemię krwią z wyłamanej zuchwy.

Watażka przypadł do leżącego, wznosił tarczę i uderzył w grdykę. Coś zachręściło w szyi obrońcy, on sam wybałuszył oczy, nie mogąc złapać tchu. Wznosił buzdygan w górę i rąbnął po raz kolejny w twarz, masakrując fizjonomię oponenta.

Wojownik zadrgał spazmatycznie, jego usta wypełniała nagromadzona krew i ślina, na której nadymały się i pękały różowe bąbelki.

Orion przechylił się na bok, podparł tarczą, wyprostował jedną nogę, przestąpił skrzywiony krok i wyrównał do drugiej. Z trudem stanął prosto i wziął głęboki oddech, rozglądając się spod zasłony krwi po polu bitwy.

Po jego twarzy sączył się życiodajny płyn, osiadający ciemnymi plamami na pancerzu i kontrastująco jasnej brodzie. Rana była istotna, zwiastowała paskudną bliznę do końca życia, ale nie śmierć.

Przetarł ramieniem policzek, pomacał się palcami i wyczuł, że ostrze minęło oko, zostawiając długą bruzdę od łuku brwiowego do ust. Choć utrudniało to widzenie i musiało wyglądać tragicznie, to w głębi ducha cieszył się, że wykpił się tylko tym i zapewne nadkruszonym łokciem.

Na moment zabójca wsłuchał się w otoczenie, zdjęty grozą oczekując emanacji, gdy już zdał sobie sprawę, z tego co zrobił. Jednakże tym razem zanieczyszczenie nie nadeszło.

Szala zwycięstwa ewidentnie była cięższa po stronie najeźdźców.

Orion nachylił się jeszcze nad zabitym ciężkozbrojnym, którego imienia nawet nie poznał. Zsuł jego skórzany pas z posrebrzanymi nakładkami, ściał z hełmu pióropusz i włożył miecz do pochwy.

Łupy wojenne i trofea, pomyślał Orion, po czym wzniosł czerwoną ozdobę ku górze i zakrzyczał z całych sił.

Wojownicy zahłakowali w dzikiej radości. Wraży wódz czy pozorny czy nie, padł trupem i to z ręki przywódcy najeźdźców. Wiadomość była oczywista, a popłoch, jaki wywołała wśród ostatnich obrońców, zwiastował rychłe zwycięstwo.

– To dobry dzień.

Orion obrócił się raptownie i w ostatniej chwili wstrzymał odruchowy cios.

Destres stał tuż przed nim, trzymając w jednej dłoni tarczę, a w drugiej, wyciągniętej rolkę wątpliwej jakości płótna.

Dowódca skinął głową bez przekonania, odebrał podarunek i zaczął nim dokładnie owijać czoło i nos, tak by móc widzieć, oddychać i mówić. Gdy już zaplątał ciasny węzeł i wziął oddech na próbę, to uśmiechnął się samym wzrokiem i klepnął podkomendnego w ramię.

– Teraz jesteśmy nierozróżnialni.

– Nie rozumiem – odezwał się Destres, zza brązowej maski.

Orion pokiwał głową w rozczarowaniu, rozprostował ręce i wskazał na główny kompleks sanktuarium.

Wysoka na czterech ludzi, biała, kamienna budowla, otoczona drewnianymi budami na narzędzia i zagrodami dla zwierząt, była typowym przykładem architektury ludów nad morza Szarpanego. Ten konkretny budynek mógł pochodzić jeszcze z poprzedniej ery, gdyż wieża na misę ze świętym płomieniem miała inną stylistykę.

To tam musiał urzędować król-kapłan, zapewniający czystość lokalnym ziemiom. Cel pielgrzymki był dosłownie na wyciągnięcie ręki, wystarczyło sięgnąć i zacisnąć dłoń w pięść.

Orion postąpił kilka kroków, zbliżył się do głównych drzwi sanktuarium i drogę zastąpił mu jeden z obrońców. Młodzian, na oko nie starszy niż piętnaście wiosen, nosił

na sobie surowe warstwy lnu, obwiązane jutowym sznurem, jako namiastka pancerza. W dłoniach trzymał siekierę i machał nią desperacko w górę i w dół, wykrzykując coś.

– Tym można się skaleczyć – stwierdził poważnie Orion, zbliżając się do chłopaka.

Obrońca wznosił broń wysoko do ciosu, dając okazję najeźdźcy, by ten doskoczył i chwycił za stylisko. Spróbował jeszcze zamachnąć się albo chociaż kopnąć starszego barbarzyńcę, ale bezskutecznie.

Orion wyrwał topór z dłoni młodzieńca, odgradzając się od niego tarczą. Wyszczrzył się, spojrzął na pochwę z mieczem, na sprzączkę, o którą zawieszał buzdygan i wreszcie na nowo pozyskane narzędzie.

– Niedługo będę chodził obwieszony żelastwem jak ci z północy – zaśmiał się, obracając do Destersa i ignorując chłopaka.

Destres wykroczył płynnym ruchem, zamachnął się i jednym ciosem posłał dziecko na ziemię.

– Spokojnie, nie musisz aż tak, to przecież jeszcze gówniarz.

– Ja w jego wieku...

– A wiesz co ja w twoim wieku? – przerwał watażka i nachylił się nad chłopakiem, ale nie pomógł mu wstać. – No podnoś się, już po wszystkim.

Młodzieniec dalej wydierał się wniebogłose, jakby go obdzierano żywcem ze skóry. Łzy lały mu się po twarzy, pęczniejącej od brutalnego ciosu.

– Seterczyk – stwierdził krótko Orion, wstał i otworzył drzwi. – Dziwne, że przygarniają obcych, a nas by nie przyjęli na pewno. Każ się komuś nim zająć i znajdź mnie w środku.

– Prawem siły – szczechnął Destres, bardziej niż powiedział.

– Prawem ręki – odpowiedział po chwili wahania Orion. Bojowy animusz powoli cichł w jego żyłach, pozostawał ból i zmęczenie.

Kroki odbijały się echem wśród wąskich, ciemnoszarych korytarzy. Po ścianach spływały skąpe strużyny promieni słonecznych, wpuszczane przez zabarykadowane naprędcy

okna. W suficie dało się dostrzec charakterystyczną, drewnianą budkę, zapędzającą światło do centralnej części budowli.

Orion przemierzał główny korytarz, rozglądając się ostrożnie, wysuwając tarczę do każdych drzwi po kolei i otwierając je.

Większość z komnat była otwarta na oścież, a wnętrza wyglądały, jakby porzucono je w pośpiechu. W kilku stały palące się jeszcze lampki z muszli, a raz nawet miska z parującą polewką.

Wódz Pielgrzymów dostrzegł ostatnie drzwi, szerokie na dwóch mężczyzn, zdecydowanie prowadziły do głównej sali. Przełożył chwyt na buzdyganie i uchylił jedno ze skrzydeł, zaglądając ostrożnie do środka i antycypując zasadzki.

– Spokojnie mały, wszystko będzie dobrze – szept dobiegał ze środka, ewidentnie kobiecy głos, młody.

Orion wskoczył raptownie, unosząc tarczę do lewej, by zablokować cios. W prawą stronę pchnął buzdyganem, ponieważ dobre pchnięcie jest znacznie szybsze od cięcia z góry, a czekającemu człowiekowi zazwyczaj to drugie przychodzi do głowy.

Nic się jednak nie stało.

Wewnątrz nie było żadnej zasadzki, a jedynie rzędy ław w sali biesiadnej, rozświetlonej przez kilka lampek. Ławy, lampki i jeszcze kilka tuzinów kobiet i dzieci, stłoczonych ciasno w rogu sali. Drżący ze strachu, skryci w cieniu, liczący na to, że płomienie rozpalone za dnia odwrócą uwagę intruzów.

Absolutnie zdesperowani, całkowicie przerażeni, ze wszech miar bezbronni.

– Widzę go! – wydarł się ktoś i zaraz rozległa się kaskada lamentów i skowytów.

Orion cofnął się krok, spojrzął na bezkształtną masę kończyn, ryczących na kamiennej posadzce. Wyglądało to, jakby otworzył salę tortur, bał się może nie mniej niż sami mieszkańcy. W pierwszej chwili nie wiedział nawet jak zareagować, ale zaraz wyprostował się i krzyknął:

– Spokój, powiedziałem, spokój!

Jednak spokoju nie było, tylko błagania naprzemiennie rzucane z klątwami i wzajemnymi słowami pocieszenia.

Wszystko nagle ucichło, ale nie za sprawą Oriona. Ubrany w czyste szaty starzec w naszyjniku ze szklanych paciorków wyszedł na środek sali. Kroczył w żółtym tempie, w jednej dłoni mając laskę z figowca, w drugiej wypolerowany miecz, który utrzymywał z dużym trudem.

– Precz – głos miał pewny siebie i mocny, w przeciwieństwie do postury.

– Mogliśmy to wszystko zrobić pokojowo – odpowiedział watażka, zbliżając się do miejscowego. – Jednak chcieliście walczyć i to dwa razy. Nie popełniajcie trzeci raz tego samego błędu.

– Precz, wynoś się i nie wracaj ze swoim plugawym orszakiem demonów...

– To bardzo krzywdzące słowa – parsknął śmiechem Orion, ale rozejrzał się zaraz, spojrzał na swój ubrudzony ludzkimi sokami pancerz, przerażonych mieszkańców sanktuarium i zdeterminowanego starca. – Dobrze, macie prawo być źli, zginęli dziś wasi bliscy, pewnie część z nich znaleźcie od dziecka, rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz, wynoś się, powtarzam po raz ostatni! – podniósł głos gospodarz, spróbował podnieść również miecz, ale ręka zadygotała mu, jak osika na wietrze i zaraz opadła.

– Czy ja dobrze rozumiem... – zamrugał zdziwiony Orion, przysiadł na skraju ławy, cały czas mając na oku broń nieznajomego. – Że ty jesteś królem-kapłanem? Tym, który sprawia, że kłosa prężą się do słońca, a strumienie tryskają czystą wodą?

– To sprawiają bogowie, ja tylko korzystam z ich dobrodziejstw.

– O tak, jedno z nich omal nie wymordowało całego zamku, ale śmiałek z moich ludzi je przyjął na siebie. Emanacje nie są dobrodziejstwami, ale będziemy mieć na to sporo czasu, gdy zaprowadzę tu nowe porządki. – Orion obejrzał się na ławę, zajrzał do jednego z kubków, wzniosł go jak do toastu i wypił na raz zawartość. – Zdrowie sanktuarium.

Jedno z dzieci skrytych w rogu wyskoczyło nagle z grupy, ktoś krzyknął za nim i wyciągnął rękę, jednak ono przyśpieszyło i spróbowało prześlizgnąć się do drzwi za Orionem.

– Nie waż się! – krzyknął król, wskazując mieczem na Oriona, jednak ten jedynie śledził wzrokiem dziewczynkę, aż ta wybiegła z sali z płaczem.

– Powtarzam, nie przyszedłem tutaj mordować. Szukam nowego domu dla siebie i swoich ludzi. Coś, co dla was jest codziennością, dla nas byłoby błogosławieństwem.

– Zbudowaliśmy to miejsce pracą własnych rąk, nic was nie upoważnia do zagrabienia tego dla siebie – odpowiedział twardo władca, kilka głosów z rogu wsparło jego słowa.

– Widzisz dobry człowieku, jest mały problem – dodał lekceważącym tonem Orion i zaczął szukać kolejnego kubka wina. – Bo widzisz, nas trapi tragiczna klątwa. Mówię o tym, bo skoro mamy razem mieszkać, to powinniśmy się lepiej poznać. Ważąc to, że moi ludzie już opatrują rany, zbierają narzędzia z rąk twoich ludzi i perswadują im grzecznie, dlaczego popełnili błąd, to ja mogę zrobić to samo dla was.

Orion osuszył naczynie jednym haustem i spojrzał lekko zamglonym wzrokiem w wysoko położony sufit.

– Wygnanie to niemal pewna śmierć, ale ma dużą zaletę dla wszystkich społeczeństw. Jest względnie bezpieczną karą. Pozwala pozbyć się ludzi, którzy zaszli za skórę bogom. Tacy ludzie włączą się później od Morza Siwego do Morza Długiego, szukając chociaż jednego dnia odpoczynku. Sam stałem się takim człowiekiem, po tym, jak niesłusznie bóg Nixis odebrał mi ukochaną żonę, córkę i brata.

Orion odetchnął ciężko, był w innym świecie. W dłoni miał krótką włócznię, na jej końcu brata, którego po powrocie z wyprawy wojennej nakrył z własną żoną. Czuł swąd palonego mięsa, słyszał trzask zapadającej się powały i widział dym z tamtego dnia. Emanacja doszczętnie skaziła jego rodzinny dom i zabiła pozostałych bliskich, jego samego wysyłając w pielgrzymkę.

Wojownik złapał z trudem oddech, jakby po długim czasie wypłynął na powierzchnię jeziora. Przed nim znów rozrastał się sufit sali biesiadnej.

– Niesłusznie ukarany, osamotniony, wygnany z własnego domu. Takim właśnie znalazłem Haresa i resztę tych odważnych mężów, którzy niedługo będą orać pola dookoła sanktuarium. Oni mieli swoje historie, często bardziej tragiczne od mojej. W tym czasie ludzie tacy jak wy trawią życie na krotofilach, dają ziemi ziarno, a zyskują dwadzieścia. A przecież nie jesteście w niczym lepsi od nas samych. Po prostu okrutni bogowie JESZCZE was nie skrzywdzili.

– Jesteś ślepy, a w swoim uporze zwyczajnie okrutny dla dobrych ludzi. Nie dbasz o ludzkie życie, ryzykujesz dusze tych nieszczęśników na zewnątrz i nas. Bogowie nie karzą niesłusznie, oni jedynie stworzyli świat i jego zasady, to ty postanowiłeś ich nie przestrzegać. To nie za wami ciągnie się zło i spaczenie, to wy jesteście spaczeniem.

Orion rozchylił lekko usta, zacisnął zęby w gniewie, spróbował ułożyć jakąś ripostę, jednak znowu przed oczami miał twarz swojej córki, pochłanianej przez czarną chmurę miazmy. Skupiał się bardziej na tym, by odpędzić to wspomnienie, jednak ono wdzierало się w niego, niemożliwe do powstrzymania.

– Bogowie nagradzają dobre uczynki, bogowie karzą złe. Bogowie dali nam jasne przykazania, spisali nam Drogę, nie oczekują niczego więcej niż tyle, ile może im dać każdy! W swojej pogardzie dla życia i świętości ośmieliłeś się tu wtargnąć, depcząc po trupach. Idziesz dalej i myślisz, że to miejsce sprawi, że będzie inaczej – westchnął bez nadziei starzec, przeczuwając nieunikniony koniec. – Jednak zapewniam cię, nawet jeśli mnie już tu nie będzie, to minie ledwie chwila, dzień, może miesiąc, albo rok i brud tu przyjdzie. A wy znów będziecie hordą, zmieniającą żyzne zagony w spalone pustelnie.

Król-kapłan zebrał w sobie wszystkie siły, wystąpił krok, drugi, był już blisko Oriona, wystawiając przed siebie miecz.

Orion zdawał się być pogrążony w malignie, po policzkach spływały mu jedynie łzy. Wstał pewnym ruchem, po czym wystawił przed siebie buzdygan i stuknął nim w miecz kapłana najpierw z prawej strony, a potem z lewej, jakby wymieniali się ciosami.

– Bogom powiesz, że zginąłeś honorowo, w walce – szepnął spokojnym głosem Orion i zamachnął się z całą mocą.

Rozległ się trzask, zaraz za nim przerażone krzyki mieszkańców. Dzieci płakały, kobiety rzucały czym popadnie w najeźdźcę, który nachylał się nad drżącym spazmatycznie ciałem starca.

Buzdygan wzniósł się, pryskając ciemną krwią dookoła i opadł ponownie szybko, miażdżąc pokrytą siwizną skroń.

Orion spojrział na ciało, zamrugał, poczuł, jakby przeszedł go dreszcz. Obrócił się w kierunku bezbronnych ludzi, potem na drzwi, przez które wbiegali jego wojownicy, na końcu na własne zakrwawione, brudne dłonie.

Ktoś coś mówił, ktoś coś krzyczał, on jednak czuł, jak jego serce marznie, gdy rozum obejmował, co się właśnie wydarzyło.

Z ciała starca podniosła się wąska, czarna struga, jak bodzącą w sufit, narastająca szpila. Miazma z każdą chwilą potężniała, obejmując posadzkę i ściany.

Destres dobiegł do przywódcy, potrząsnął jego ramieniem, krzyczał do niego, jednak ten zdawał się w ogóle nie słyszeć słów, dobiegających spod maski Pielgrzyma. W oczach Oriona wszyscy najeźdźcy byli na nowo najeźdźcami, wódz najeźdźców wodzem najeźdźców, a bezbronni ludzie, tylko bezbronnymi ludźmi.

– Emanacja – poruszył samymi ustami wódz.

Orion poczuł, jak miękną mu kolana, rzucił narzędzie mordy na ziemię i uciekł z weselnej sali, zdjęty grozą.

Wiedział, że sam zaprzepścił szansę na lepszą przyszłość. Pogrzebał żywoty zwykłych ludzi, pielgrzymów i swój.

Wypadł przez główne drzwi, oparł się o framugę i zwymiotował w ubitą ziemię. Niebo było czarne, masyw ciemnej chmury zakrywał wszystkie horyzonty.

Orion otarł usta, spojrział z przerażeniem na zebranych pielgrzymów i poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Trzask łamanych kości zabrzmiał dopiero po chwili.